

tusiowi pomogę. Rozumku niema. Oj trzeba jej broń, Ignasiu, nie dać... Ona nie wie, co to, nie wie co za życie przed nią...

— Co też się cioci zdaje! — powtórzył Ignacy niecierpliwie. — Przecież jej tatuś nie da.

— Ja wiem! O, ja wiem! — z szacunkiem zarzekła się staruszka ze staroświecką przesadą. — To wielka głowa, to wielki rozum! To charakter jak złoto! I mamunia godna osoba, wielki rozum, wielki charakter... Ale ona biedniuchna, Antosia, kwiateczek biały, gołąbek bez skazy... Biedna, biedna, biedna dziecina!...

Ręce jej się trzęsły, i powolne łzy kapały z oczu, z brody z końca nosa, ciekąc pomalutką ze starych oczu po żółtej twarzy. Ze strachem strzepywała je z bielizny. Ignacy odwrócił się nawpół, niezadowolony. Wtem weszła Antosia. Spojrzała na starszkę i spytała natychmiast niecierpliwie:

— Czego znów ciocia płacze?

— Ja nie płaczę, dziecino, nie płaczę wcale.

I strzepywała ze strachem łzy z trzymanyh w ręku materyi.

Ignacy odszedł zły do swego pokoju.

## VII.

Nazajutrz równo ze dniem stary pan Kleszewski kazał zakładać konie. Nosił się widocznie z jakimś planem nowym, bo chodził zamyślony, i nic nie mówiąc. Tego ranka cały dom był w rozruchu. Ignacy w pierwszej chwili, gdy ujrzał zachodzącą przed ganek brykę, myślał, że tyczy się to wyjazdu matki. Podążył do sieni. Ujrzawszy, że idzie o ojca, zawahał się i zapytał:

— To mama wyjedzie po tatusiu?

— To co nowego? — spytał ojciec, zatrzymując się.

Ignacy zakłopotany nie wiedział, jak rzecz przedstawić.

— Mama mi mówiła... — zaczął.

W tej chwili matka weszła sama.

— Dokądże ty? — spytał jej ojciec.

— Do ciotki, — odrzekła cicho.

Ojciec patrzył na nią chwilę w milczeniu. Powoli uśmiechnął się:

— Moja dobra Joasiu, to nadarmo.

Matka, aby pokryć zmieszanie, spytała żywo:

— A Józio dokąd jedzie?

— Do Przasnysza, — odrzekł swobodnie. — Może i to nadaremno! uśmiechnął się. — Ale ty, Joasiu, lepiejbyś poczekała, aż drogi podeschną. No, jak chcesz. Ja wrócę jutro na południe. Bywaj zdrów synu, Ignasiu.

Ignacy miał wyjechać nazajutrz do dnia, bo o zachodzie wychodził jego urlop. Żegnał się z ojcem długo. Siadł z nim do bryki, by go odwieźć aż do pewnego zakrętu, i stamtąd wrócić do domu, skracać drogę przez łąki i miedze.

— Może za przyszłym razem nie ujrzymy się już w Strzelcach, — mówił stary pan pogodnie, gdy wyjechali z pomiędzy płotów dworskich. — Może już na warszawskim bruku. Coraz gorsze interesa, a gotówki nie ma nic, w całym kraju.

— Może uda mi się zaangażować pensję i dostać na nią cośkolwiek, — rzekł Ignacy.

— Daj pokój!

Ignacy umilkł.

— Takto, — powiedział znów ojciec, — idą kolejne życia. Rodzimy się — los nas przynosi albo do gotowego dziedzictwa, albo do nędzy chłopskiej. Żyjemy — przychodzą czasy, że majątek odpada jak szmata, a my uczymy się biedy... Rzeczy to są prościuchne i małe wśród wielkich przewrotów świata, że aż wstyd do nich czynić maksymy moralne, jakby było do czego... A przecież robili tak ludzie po wszystkie wieki. Jak to powiedział Horacyusz:

aequam memento rebus in arduis  
servare mentem — non secus in bonis  
Ab insolenti temperatam laetitia..

— Tristitia, byłoby lepiej, — zauważył Ignacy, znając upodobanie ojca w takich rozmowach.

— Nie, — odrzekł pan Kleszewski. — Właśnie stosując do naszego położenia tę zwrotkę, jest w tem pewna elegancja, gdy rozważamy którykolwiek z ludzkich afektów, nie zaraz za ów chwytając, który nas kole. Mniemam, iż zdolność do abstrakcji jest

miarą szlachetności przyrodzonej ludzkiemu rodzajowi.

Droga była bardzo zła, i bryka co chwila gwałtownie i po kilkakroć zapadała to na jednej, to na drugiej kolei w wyżłobione jamy.

— No, dość o tem, — rzekł stary pan. — Chciałem ci przypomnieć jeszcze, żebyś idąc na nową wojnę, cokolwiek ci się zdarzy, nie tracił z oczu ludzkiej swej szlachetności. Znałem swego czasu pewnego księdza kapucyna, który doradzał, znalazłszy się w czyjejkolwiek przytomności, pozdrowić myślą aniołów stróżów, pieczę mających nad tymi, z którymi miałoby się sprawę. Była to mądra rada, ale zbyt trudna na tym padole wilków i lisów. Nil desperandum jednak, brnijmy ku słońcu. Radzę ci, jeśli nie aniołów, to własną swą i ich wspomnieć ludzką duszę. Łatwo obrócić ludzi w zwierzęta czy to swoich zbytnią srogością dyscypliny, czy obcych, okrucieństwem. Nieskończenie trudno utrzymać tlejącą iskrę ludzkości w twardych i srogich terminach, w których będziesz ty i oni.

— Ale w bitwie, proszę tatusia, jakże...

— Nie o bitwie ci mówię, która jest działaniem



„Ignas ma rację — szepleniła szeptem — to niestychane rzeczy“.

armii. Ale gdzie ty będziesz sam wobec drugich. Nie idziesz przecież walczyć o łupy, tylko o świętą wolność.

— Ja wiem, — rzekł Ignacy.

— Strzeż się okrucieństwa.

— Dobrze, tatusiu.

Stary pan kazał stanąć. Ignacy wyskoczył.

— Bywaj zdrów synu. Bóg cię prowadź.

Uściskał go, już stojącego u bryki.

— I pilnuj się...

— Dowidzenia, tatusiu...

Bryka ruszyła. Ignacy stał i patrzył. Ojciec odwrócił się po pewnym czasie i skinął mu jeszcze głową, wskazując ręką, by szedł do domu.

Ignacy wracał powoli zielonemi polami. W dali widział tyły dworskich ogrodów i stajen, w jasnej, młodej zieleni drzew. Za niemi w głąb niebieskie lasy. Słońce, przesiewając się przez szare obłoki, lało plamy światła na nizkie i ciche pola, zadumane w zieloności ozimin i jarzyn.

Nigdy jeszcze nie uczuł tak mocno i z takim zacieklą boleścią, że ma stracić te pola, to niebo, ten dom. Cierpiał nad tem jednostajnie, idąc naprzód. Gdy wszedł na ganek, wybiegł na jego powitanie Józio.

— Mamusia wyjechała z Antosią i z ciocią! I poszła podwoda pod rzeczami!

— Już? A kiedy mama wróci?

— Jutro.

Pomyślał, że już ich nie zobaczy. Teraz tchnęło w niego jakby echo dalekie wojennego życia. Zabrał się do przygotowań do jutrzejszej drogi.

Gdy minął Pultusk i jechał niespiesznym truchtem bokiem gościńca, ujrzał zdala kocz i cztery konie. Wydały mu się znajome. Żołnierz Ptyś, jadący za nim, odezwał się jak do siebie:

— A to pani jejmość wracają.

Rzeczywiście Ignacy poznał natychmiast konie i zaprząg. Zdumiał się. Nie w tej stronie mieszkała ciotka matki, pani staroscina Kraśnicka.

— Chyba, że teraz gości u wuja?

Zaraz jednak pomyślał:

— Ale nie miałyby mama czasu obrócić od niej do Kraśnika, i już wracać...

Szarpał konia i popędził w skok. Tam go dostrzeżono, bo kocz stanął. W koczku była matka, obok stara rezydentka. Zeskoczył z konia, rzucił leje Ptysiowi, dobiegł do drzwiczek.

Ucałował ręce matki i staruszki, zapytał:

— A Antosia?

Ujrzał że matce drżą usta.

— Może i źle zrobiłam, — rzekła. — Ofiaruję panu Jezusowi moją mękę.

— Mamo, mamo! gdzie Antosia?

— Czy ojciec w domu? — spytała głosem, jakby dalekim.

— Niebyło jeszcze, jakem wyjeżdżał. Ale gdzie...

— Och! daj pokój, — rzekła matka. — Może i źle zrobiłam. Ale nie było wyjścia. Dwie były okropne rzeczy, ale jedna mniejsza. Czyż ja mogłam pozwolić na to, żeby ojciec na starość nie miał dachu nad głową? Sam powiedz. Albo dzieci? Teklunia i Staś, a i Józio jeszcze...

— Co mama zrobiła? — zapytał Ignacy błędnie. — Antosia?...

— Mój Boże! — zaskakała matka. —

No tak, tak! Wydałam Antosię za Marcina... Wczoraj był ślub w kraśnickim kościele... Wyjechałam na noc. O Boże! Panu Jezusowi ofiaruję moje dziecko...

Ignacy nie słuchał. Wyło mu coś w głowie, w sercu, jak wściekły wilk. Chciał mówić, nie znajdował głosu ani słów. Do pasy go dzgnął na jeden moment rozmazany płacz starej rezydentki, śliniącej jakieś słowa w bezzębnych zębach. Znów to zapomniał, wpadając w rozpacz i rozpacz ogólną, czy żal.

— Co zrobisz? Co zrobisz? Co zrobisz? — kotłowała w głowie, naprzemian z wywołaniem rady!

Matka, chlipiąc w łzy, w wyrywających się przemocą cichych jękach, mówiła:

— Może będzie szczęśliwa! Mój Pan Jezus zlituje się i Matka Najświętsza... Może jej będzie dobrze! Ooo, mój Boże, mój Boże, słodki Panie Je-

zu... Moja śliczna dziewczeczka, mój kwiatek, moja Antosia...

Ignacy stał, stał, nie wiedząc, że czas płynie, i patrząc pilnie na trawę, której kiście na przykopie rowu wiatr poruszał.

Nagle odstąpił powozu, ku swemu cisawemu.

Matka kiwała na niego żywo ręką. Wrócił. Widząc jak jest złamana i słaba, uczuł swoją wobec niej przemoc i opiekę, jak nad dzieckiem, którego nie można winić. Odpadło mu coś z dawnej skorupy dziecięcej. Poszedł w górę w swej sile.

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece! — wytknęła matka.

Rozstali się. Kocz ruszył dalej ku Pultuskowi. Młodzieniec ruszył dalej, szybkim klusem, wróciwszy zuów do szamotania się w sieci tego, co zaszło.

(Ciąg dalszy nastąpi).